

# Nauczyciel

12 października 1992 roku przekazywałem Józefowi Czapskiemu dyplom Honorowego Profesora krakowskiej ASP, przyznany mu przez Senat uczelni w uznaniu zasług dla sztuki polskiej, w podzięce za jego malarstwo, ale i za to, co napisał o malarstwie. W ten sposób Czapski, który nigdy formalnie nie był pedagogiem — został nim nazwany niemal w przededniu śmierci.

Jeżeli myślę teraz o jego malarstwie, o tym co napisał, o kajetach pełnych rysunków, notatek, szkiców — myślę, że tytuł nauczyciela „dosięgnął” go słusznie.

Jeżeli myślę dzisiaj, kilka godzin po otrzymaniu wiadomości o jego śmierci, a równo w trzy miesiące od naszego ostatniego spotkania, o 97 latach Józio-wego żywota — to jawi mi się on jako żywot jednego z najbardziej wiarygodnych nauczycieli naszego wieku. A to, czego uczył życiem, malowaniem i pisanem — jakby skierowane było ku nam, żyjącym w Polsce właśnie teraz. Napisał kiedyś: „Polska sienkiewiczowska zupełnie mnie nie brała...” A przecież podejmuje heroiczny trud ciągłego dopominania się o prawdę Katynia. Dla pamięci zamordowanych współbraci zrobił wszystko, co mógł. Odciął siebie, swoją sztukę od kraju na prawie pół wieku, ryzykował losem pozostałej w kraju rodziny. Zaprzysięgły wróg fanfaronady i wszelkich gestów — swój los i życie ofiarował bez chwili zastanowienia, pozostając, jak sienkiewiczowscy bohaterowie, wierny do końca współtowarzyszom z radzieckich obozów.

Na stronach „Nieludzkiej ziemi” pisze o koszmarze powolnej, łagrowej śmierci, o ludziach zapelniających kolejowe dworce sowieckich szlaków, o zimnym wyrachowaniu swych rozmówców na moskiewskiej Łubiance. A równocześnie ile w tej książce ciepłych i wspaniałych słów o Rosji, o rosyjskiej kulturze, poezji, ileż wspomnień o własnej, petersburskiej młodości. Ani krzty niechęci, ani śladu

emocjonalnych czy krzywdzących ocen wobec Rosjan.

W tekstach o malarstwie, a zwłaszcza o własnym malarskim doświadczeniu — ile precyzyjnych analiz malowanych płócien, dystansu wobec własnej pracy. Ile tam o niepowodzeniach! Wydaje się, jakby każdy obraz okupiony był trudem i goryczą. A przecież świadom był swego miejsca wśród rówieśników, wzrastającej pozycji, szczególnie od lat 70., wśród kolekcjonerów za Zachodzie. Zawsze traktując siebie z pokorą, nie ukrywał zachwytów nad twórczością innych.

Kiedy prosił — właśnie w październiku — żebym opowiedział, co widziałem w paryskich galeriach i muzeach, kiedy w odpowiedzi na moje relacje odpowiadał, podejmował rozmowę — podstawową wartością jaką wymieniał i nazywał jednym słowem było: „tak, to malarz bez grymasów”, „ale ten to lubi grymasy”, a wtedy wiadomo było, że to najgorsza z możliwych ocen. Tak jak zawsze — chodziło mu o prawdę, o niezafałszowane widzenie świata, ludzi i sztuki. Ostatnie lata bardzo słabo widział. Świadom był niemal zupełnego uzależnienia od innych. A przecież nie powiedział nigdy jednego słowa, które byłoby narzekaniem. „Moja paniusia (tak nazywał swą opiekunkę, panią Janinę) opiekuje się mną nadzwyczajnie. Wszyscy o mnie dbają, ale to już chyba dość...” To dramatyczne wyznanie zawierało tylko cień smutku tego człowieka, który do końca tak bardzo umiał dziękować.

Skłóceni, podzieleni, nieraz bezmyślnie, szukający, co by tu mogło nas poróżnić, tak łatwo osądzający, ciągle narzekający na młodość, starość, dalekich i bliskich... Jak wiele możemy się dzisiaj uczyć od Józefa Czapskiego. Zostały z nami jego obrazy i teksty. Bardzo brak będzie uśmiechu, ciepłego dotyku dłoni, życzliwości dla świata i ludzi. Jest już u Pana Boga.

STANISŁAW RODZIŃSKI